



623.395



Nr. 44.

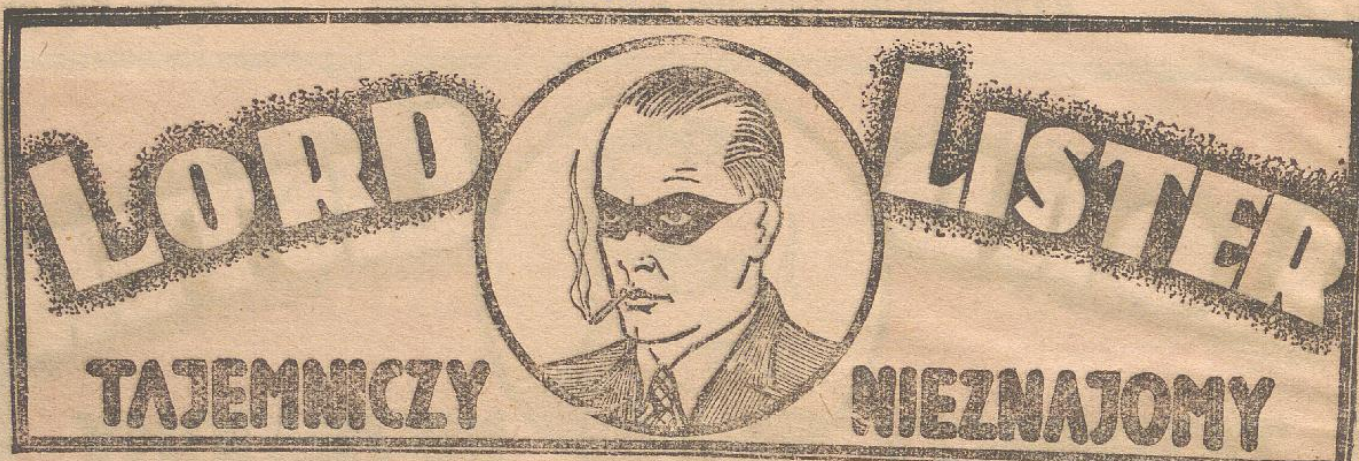
KAZDY ZESZYT STANOWI ODDZIELNĄ CAŁOŚĆ.

Cena 10 gr.



FALSZYWY BANKIER





FALSZYWY BANKIER

Stara znajomość

Pewnego styczniowego wieczora lord Lister znajdował się wraz ze swym przyjacielem Charley Brandem w teatrze. Zajmowali wygodną łożę, położoną niedaleko od sceny.

Lord Lister wrócił do Londynu zaledwie przed kilku dniami. Grudzień i połowę stycznia spędził wraz ze swym sekretarzem we Francji na Lazurowym Wybrzeżu.

— Wszystko się psuje — rzekł do Charleya. Jakkolwiek autorzy dramatyczni nie są gorsi niż dawniej, sztuki ich są coraz nudniejsze. To samo da się powiedzieć o naszym zawodzie: choć właściwie są teraz bardziej zręczni niż byli ongiś, ludzie mają o wiele mniej pieniędzy. Poważnie zastanawiam się nad tym, aby opuścić Londyn i zainstalować się na stałe gdzie indziej, w Berlinie, lub w Paryżu.

Przerwał i spojrzał uważnie na korpulentnego jegomościa w monoklu, otoczonego wieńcem jaskrawo umalowanych kobiet. Całe twarzystwo siedział w sąsiedniej łoży.

Charley Brand spojrzał w tym samym kierunku.

— Czy znasz tego pana? — szepnął.

— Tak — odparł Raffles. — Znam go nawet zbyt dobrze. Należy do tej kategorii ludzi, na których szyi ujrzałbym chętnie zamiast krawata solidny strzynek.

— Któż to taki? — zapytał Charley.

Lord Lister nic nie odpowiedział. Podniósł się i opuścił łożę. W tej chwili podniesiono kurtynę. Sztuka rozpoczęła się. Charley wyszedł ze swym przyjacielem. Doszli do bufetu i zażądali whisky z wodą sodową.

— Nie chciałbym — rzekł Raffles zapalając papierosa, aby ten człowiek zobaczył mnie w trakcie przedstawienia. Wolę znaleźć się na jego drodze gdy będzie wychodził.

— Ach! — rzekł Charley. — Znasz więc go osobiście?

— Tak. I jemu zawdzięczam to, że obrałem swój zawód. Powiniennem mu za to podziękować. Dzięki niemu przeżyłem tyle ciekawych i zabawnych przygód w jakie obfitowała moja kariera właściwie!

— Cóż to za rodzaj człowieka? — zapytał Charley.

— Opowiem ci tę historię — odparł lord Lister.

— Było to dziesięć lat temu — zaczął. — Mój ojciec żył jeszcze. — Po dojściu do pełnoletności wszedłem w posiadanie spadku po mojej matce. Byłem wówczas członkiem klubu Hamiltona. Pozostali członkowie klubu byli to afrykanie, to jest ludzie, którzy żyli i walczyli w naszych koloniach afrykańskich. Pomiedzy nimi znajdowali się zarówno dawni żołnierze jak i kupcy. W klubie zawarłem znajomość z niejakim panem Geissem. Pochodził z Pretorii i podawał się za właściciela licznych kopalń złota i pół diamentowych. Po upływie kilku tygodni zaprzyjaźniliśmy się bliżej. Zaprosił mnie do siebie na kolację. Mieszkał w dzielnicy zachodniej Londynu. Dom jego urządzony był z iście królewskim przepychem.

U Geissa spotkałem pewną młodą damę, której olśniewająca piękność podbiła moje serce. Pochodziła ona z Johannesburga i podawała się za kuzynkę pana Geissa. Sądziłem, że miała wówczas około dziewiętnastu lat. Spozregłem od razu, że odnosiła się do mnie przychylnie i przeto nie kryłem się wcale z moim uczuciem. Przed wyjściem, pan domu zbliżył się do mnie i, uderzając mnie jowialnie po ramieniu, rzekł:

— Drogie przyjacielu! O ile się nie mylę, masz olbrzymie powodzenie u mojej kuzynki. Jesteś pierwszym mężczyzną, który ma szansę zdobycia jej ręki i majątku. Zwracam panu uwagę na fakt, że moja kuzynka jest sierotą i ja jestem jej jedynym opiekunem. Jeśli nie ma pan poważnych zamiarów, będę musiał pana poprosić, abyś nie zwracał głowy dziewczynie.

Zaczerwieniłem się. Fakt, że wywarłem wrażenie na pięknej dziewczynie napełnił mnie dumą. Bąknąłem coś niezrozumiale i z bijącym sercem wróciłem do domu. W trzy dni później zjawiłem się w salonie pana Geissa z olbrzymim bukietem orchidei. Wszystko odbyło się wówczas tak, jak można było przewidzieć. Byłem ślepy, jak każdy zakochany. Nie spostrzegłem skwapliwości i pośpiechu z jaką człowiek ten otwierał mi drzwi swego domu i otaczał mnie siecią swoich intryg. Trwa-

to przeszło miesiąc. Pewnego dnia mister Geiss wezwał mnie na poważną rozmowę. Sądziłem, że chodzi mu o to, abym się zdeklarował. Gotów byłem dać mu pełną satysfakcję i zaoferować dziewczynie moje nazwisko, rękę i majątek. Ale sprawy przybrały całkiem inny obrót. Mister Geiss oświadczył mi, że jest w przededniu założenia olbrzymiego banku, którego kierownictwo ma zamiar mi powierzyć. W charakterze prezesa rady nadzorczej miałem więc podpisać niektóre dokumenty. Przedstawił mi przyszłość w tak pociągających barwach i wymienił tak wysokie wynagrodzenie, że nie namyślając się dłużej przystałem na jego propozycję.

Jeszcze tego samego dnia wyznaczył mi spotkanie u notariusza, gdzie sporządzono odnośny akt. W ten sposób udało mu się dokonać niesłychanego oszustwa. Podczas, gdy ja odbywałem długie spacery z jego piękną kuzynką, użył mego nazwiska, aby zwabić kilku poważnych kapitalistów i skłonić tysiące drobnych ciuflaczy do złożenia mu swoich oszczędności. Pochłonięty swym uczuciem, nie spostrzegłem tego, co się dookoła mnie działo.

Pewnego dnia mister Geiss oznajmił mi, że małżeństwo moje z jego kuzynką, będzie mogło być zawarte dopiero po upływie roku. Powinniśmy sobie uprzednio zdać sprawę — mówił — czy jesteśmy stworzeni dla siebie. W tym stanie rzeczy zmarł nagle mój ojciec. Kochałem go serdecznie. Nie mogę jednak powiedzieć, abym odczuł boleśnie ten cios. Moje myśli i serce były pochłonięte czymś innym. Byłem szczęśliwy, że zakończono wszelkie związanie z jego zgonem formalności. Majątek zostawiony mi przez mego ojca, wynosił około czterech milionów funtów. Byłem jak się to mówi „świetną partią”. Nie należałem do tej kategorii arystokracji, która musi poślubić córkę byle fabrykanta konserw z Chicago, dla dodania blasku swemu nazwisku.

Raffles zamilkł. Zapalił drugiego papierosa i śledził błękitne smugi dymu.

— Postaram się opowiedzieć krótko to, co się dalej stało — podjął Raffles. W cztery miesiące po śmierci mego ojca wkroczyła do mego mieszkania policja oświadczając mi, że jestem aresztowany. Nie wierzyłem własnym oczom. Zapytałem o co chodzi.

— Chciałbym wierzyć lordzie Listerze, — rzekł komisarz policji — że nie był pan wtajemniczony w oszukańcze machinacje, których ofiarą padły liczne rzesze. Dlatego też chwilowo nie wykonuję nakazu aresztowania i pozostawiam pana w jego własnym mieszkaniu. Da mi pan tylko słowo honoru, że nie ruszy się pan z domu. Jest pan oskarżony o to, że działając w charakterze prezesa nowego banku, przywłaszczył pan sobie pięć milionów funtów sterlingów, złożonych przez depozytariuszy.

— Ja? — zawolałem z oburzeniem. — Nigdy nie skrzywdziłem nikogo ani o grosz. Poczłoby zresztą potrzebował, będąc sam aż nadto bogatym, pieniędzy mych bliźnich. Nie rozumiem zresztą zupełnie całego tego oskarżenia. Mister Geiss oświadczył mi nie dalej jak wczoraj, że sprawy banku przedstawiają się doskonale.

Sędzia uśmiechnął się.

— Trudno mi w to uwierzyć — odparł. — Właśnie wczoraj Geiss przywłaszczywszy sobie przeszło cztery miliony funtów sterlingów uciekł z kraju.

Zdawało mi się, że piorun we mnie ugodził. Teżoż jeszcze wieczora przy pomocy adwokatów począłem likwidować swój majątek. Otworzyłem kasy banku i spłaciłem wszystkich wierzy-

cieli. Gdy oddałem ostatniego pensa zamknąłem bank, szczęśliwy, że dzięki mej opinii i przyjaściolom udało mi się uniknąć kompromitującego procesu. Pokrzywdzeni po zaspokojeniu wycofali skargi i sprawa przeciwko Geissowi została umorzona. Ja, jako jego rzekomy wspólnik nie mogłem wszcząć przeciwko niemu żadnych kroków. Jestem ciekaw, jaką minę zrobi ten człowiek, widząc mnie teraz.

W tej samej chwili rozpoczął się antrakt. Publiczność poczęła napływać do foyer. Mister Geiss wraz ze swymi damami znalazł się w pobliżu Rafflesa. Na jego widok czerwona i pełna twarz oszusta zbladła.

W mgnieniu oka odzyskał nad sobą panowanie. Wyciągnął do lorda Listera obie ręce.

— Co za radość, że pana znów widzę, lordzie Listerze — zawołał.

Charley zdziwił się niepomiernie, widząc, że Raffles wymienia z nim serdeczny uścisk dłoni.

— Cóż to za niezwykle spotkanie — rzekł lord Lister. — Ja również jestem szczęśliwy, że pana widzę. Wcale się pan nie zmienił.

— Ani pan — odparł Geiss. — Poznałbym pana wśród tysięcy. Zawsze szczupły i wytworny. Cóż pan porabiał przez cały ten czas?

— Pomówimy o tym później. Od jak dawna jest pan w Londynie?

— Od dwóch dni — odparł Geiss. — Mam zamiar osiedlić się tu na stałe. Zamieszkać w Brington. Mam z panem do pomówienia o wielu sprawach. Wracam z Australii i chciałbym naprawić ze wrażeń, jakie uczynić musiała na panu pewna nieszczęśliwa moja spekulacja.

Raffles powstrzymał go ruchem ręki.

— Pozostawmy to — rzekł. — Sprawa ta już jest od dawna zlikwidowana. — Czy straciłbym te pieniądze na gre, czy w inny sposób, to mi jest obojętne.

— O nie — nalegał Geiss. — Nie mógłbym się z tym tak łatwo pogodzić. Znalazłem sposób, dzięki któremu będzie mógł pan łatwo odzyskać swe pieniądze. Aż do chwili obecnej byłem dyrektorem „Lincoln Banku”, instytucji kredytowej, stworzonej przeze mnie w Sidney. Musi pan wiedzieć, że od czterech lat posiadamy filię w Londynie.

Raffles spoważniał. „Lincoln Bank” uchodził w mieście za jedną z najbardziej solidnych instytucyj bankowych. W jaki sposób tego rodzaju człowiek mógł stać na czele centrali tak poważnej instytucji?

— Będę kierował teraz w Londynie sprawami banku. Rada nadzorcza wybrała mnie teraz na prezesa. Niech pan przyjdzie jutro do hotelu. Czekam na pana pomiędzy godziną dziesiątą a jedenastą. Zwracam panu uwagę na jeszcze jedno: nie nazywam się Geiss, a tylko Stein.

— Ja również nie nazywam się lord Lister, lecz... Raffles.

Mister Geiss, recte Stein otworzył szeroko oczy. Zanim jednak zdążył wypowiedzieć choćby słowo, Tajemniczy Nieznajomy uściśnął mu przyjaźnie rękę.

— Do widzenia, mister Stein! Do jutra w hotelu...

— Do widzenia, mister... mister...

— Raffles — powiedział lord Lister.

Ujął Charleya pod ramię i obydwoj wyszli z teatru.

Propozycja oszusta

Gdy tylko Raffles się oddalił Geiss pod pretekstem naglej niedyspozycji pożegnał damy i wrócił do hotelu.

Zajmował on w „Savoyu“ szereg luksusowo urządzonych apartamentów.

Oczekiwał go służący Mc Intosh, z pochodzenia Irlandczyk. Mc Intosh miał odrażającą powierzchowność. Twarz jego usiana była wrzodami, a głęboka blizna, jak gdyby od ciecicia szablą, przecinała czoło. Człowiek ten był powiernikiem Geissa. Poznał się w Australii i Irlandczyk był więcej jego współnikiem, niż służącym. Skazany na karę zesłania przed dwunastu laty zdołał uciec. Zetknąwszy się z Geissem dzięki jego pomocy uszedł czujności policji i władz angielskich.

— Chodź ze mną — rzekł do niego Geiss zrzuciwszy futro z ramion. — Muszę ci powiedzieć coś ważnego.

Obydwoj udali się do gabinetu Geissa.

— Spotkałem dziś wieczorem pewnego człowieka, lorda, który dzięki pewnej sprawie z przed dziesięciu laty zaprzysiął mi zemstę. — Ten człowiek dawniej zupełnie nieszkodliwy stał się groźnym bandytą.

— A więc kolega, — rzekł Mc Intosh ze śmiechem. — Czyżby nosił się z zamiarem zadenuncjowania nas?

— Nie wątpię, że będzie starał się zemścić. Mogłoby to mieć poważne konsekwencje dla nas i naszego nowego przedsięwzięcia.

— Niech go diabli porwał — zawołał Mc Intosh, ściskając swe potężne pięści. — Gdzie on jest? Odnajdę go i rozplątam mu tęt.

— Musimy działać ostrożnie — odparł Geiss. Człowiek, o którym mówię, należy do najmniejbezpieczniejszych i najsprytniejszych ludzi.

— Któż to taki?

— Raffles.

— Raffles? — powtórzył Mc Intosh. — W jaki sposób poznałeś się z tym królem włamywaczy?

— To długa historia. Opowiem ci ją, gdy będę miał trochę czasu. Zastanówmy się teraz jak się pozbyć tego człowieka. Musisz to zrobić tak, aby nie domyślił się, że ja stoje za tobą.

— Musimy się dowiedzieć przede wszystkim gdzie on mieszka.

— Dowiemy się jutro. Będzie tu u mnie o godzinie jedenastej.

— Mogłbym skończyć z nim od razu.

— Nie. Powiedziałem ci już raz, że nie chcę, abym ja był w to wmieszany. Musisz znaleźć coś lepszego.

Przez chwilę zapanowało milczenie.

— Musimy go skłonić — przerwał Mc Intosh, aby przeprawił się na naszą wyspę. Tam pozbedziemy się go bez trudu.

Nazajutrz o godzinie jedenastej rano portier zawiadomił pana Geissa, że pewien bankier nazwiskiem John Gover pragnie się z nim widzieć.

Mister Geiss, oczekując na Rafflesa, nie był w pierwszej chwili zachwycony tą wizytą. Mimo to nie mógł odprawić z kwitkiem poważnego bankiera.

— Wprowadź go — rzekł do lokaja.

Ziawił się jakiś pan w starszym wieku. Posuwał się ciężko, opierając się na kulach. Przez złote okulary spojrzał uważnie na Geissa.

— Proszę, zechce pan usiąść — rzekł Geiss.

— Czemu zawdzięczam pańską wizytę?

— Czy pan mnie nie pamięta, mister Stein?

Mister Geiss, czyli Stein, spojrzał uważnie na swego gościa. Przysiągłby, że nie widział go nigdy w życiu.

— Przez dziesięć lat nie było mnie w Londynie. W czasie tak długiej nieobecności zapomniał się twarze najbliższych nawet znajomych. Zechce mi pan przypomnieć swoje nazwisko.

— John Gover — rzekł nieznajomy pokaszując lekko — John Gover, makler giełdowy.

Na próżno mister Geiss wysiłł swą pamięć. W żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć maklera o tym nazwisku. Z grzeczności udał, że go sobie przypomina.

— Oczywiście — rzekł — Spotykaliśmy się dość często na giełdzie.

— Myli się pan.. Nigdyśmy się dotąd nie spotkali.

— Czyżby znów pamięć wyplatała mi figla?

— Mam pełne prawo tak przypuszczać.

— A jednak wydaje mi się, żeśmy się zetknęli przy niektórych interesach.

— Tak i to dość poważnych.. Tylko, że wówczas nie orientowałem się w nich zupełnie..

Mister Geiss począł zdradzać pewne zdenerwowanie. Czego chciał od niego ten dziwny człowiek?

— Może wreszcie powie mi pan, co pana do mnie sprowadza?

— Ma pan krótką pamięć, panie Stein — odparł nieznajomy z ironicznym uśmiechem — Pan sam wyznaczył mi przecież spotkanie.

— Ja?

— Bezwątpienia — odparł mister Gover — wczoraj w teatrze zaprosił mnie pan na dziś na godzinę jedenastą do hotelu.

— Istotnie, byłem w teatrze, ale nie przypominam sobie, abym pana tam widział.

— Bardzo mnie to cieszy — odparł nieznajomy. — Okazało się więc, że przebranie moje spełnia znakomicie swoją rolę. Nie poznał mnie pan.

Mister Geiss zerwał się z krzesła. Nieprzytomnym wzrokiem powiódł dokoła, jak gdyby uirzał widmo.

— Czyż to możliwe? Pan byłby lordem Listerem?

— Tak — odparł nieznajomy. — Lord Edward Lister zwany również Johnem C. Rafflesem, zaszczycił pana swoją wizytą.

— Do pioruna! Co za niespodzianka! Pańskie przebranie jest istotnie wspaniałe. Diabłyby zjadł ten, kto by poznał w panu Listera. Zrobił pan niezłe postępy w ciągu dziesięciu lat. Z pana naprawdę genialny człowiek!

— Zostawmy to — uciał Raffles chłodno — Co ma mi pan do powiedzenia?

— Czy zna pan Bank Lincolna? — zapytał Geiss.

— Tylko z zewnątrz. Ponieważ jednak zwrócił pan nań moją uwagę, może zechcę obejrzeć go i od wewnątrz. Obawiam się tylko, że jeśli pan jest dyrektorem banku, wizyta moja może nie przynieść mi zysku.

— Myli się pan — odparł mister Geiss. — W Lincoln Banku znajdują się wkłady drobnych kupców i rzemieślników. W skarbcu naszym znajduje się około trzech milionów funtów sterlingów depozytów. Wizyta więc pańska nie byłaby tak bezowocna. Powiem jaśniej: proponuję panu, ażeby pan wziął tytułem odszkodowania za poniesione straty, część znajdującego się tam depozytu.

Raffles obserwował Geissa spod wpeł przymkniętych powiek. Na twarzy jego malowała się ab-

solutna obojętność. Bankier oczekiwał odpowiedzi.

— Na Boga — rzekł wreszcie Raffles. — To pięknie z waszej strony że chcecie mi umożliwić odzyskanie pieniędzy. Nie mam zamiaru ukrywać przed panem, że są mi bardzo potrzebne.

— Ja również poszukuję kapitału — odparł mister Geiss. — W tym celu przyjechałem do Londynu. Zrobiłem ostatnio kilka złych interesów. Mami jednak nadzieję, że zdolam pokryć straty. Sądzę, że lojalną współpracą, moglibyśmy podreperować nasze kieszenie.

— Chciałbym usłyszeć jakie są pańskie plawy — zapytał Raffles.

— Za dwa tygodnie, gdy przejmę moje funkcje, zamianuję pana prokurentem banku. W tym charakterze będzie pan miał klucze od skarbcza. Pewnej nocy, której termin ustalimy wspólnie, wejdzie pan do skarbcza otworzy pan kasy żelazne, zabierze pan cała zawartość i załaduje do auta. Następnie przyjedzie pan do Brighton, gdzie będę pana oczekiwał. Tam podzielimy się łupem. Będzie się pan mógł ukrywać w mej willi tak długo, dopóki pierwszy zapal policji nie ostygnie. Ja natomiast zostanę na posterunku prezesa rady nadzorczej banku, i będę kierował jego sprawami tak długo dopóki mi się to uda. Jakiego pan jest zdania o moim pomysle?

— Genialny — odparł Raffles udając wybuch entuzjazmu.

— Doskonale — zawołał Geiss.

Potrząsnął energicznie dłonią Rafflesa.

— Ale niech mi pan zostawi swój adres.

— Sir John Govern Regent Park Nr. 13.

Po jego wyjściu mister Geiss zatarał z zadowoleniem rece.

— Teraz wpadłeś ptaszku — szepnął. — Jeśli Mc Intosh zdoła cię wyprawić na tamten świat, w takim razie on zostanie moim prokurentem — on może wiać się do podziemi banku.

W dwa dni po tej rozmowie, Raffles znalazł w porannej poczcie następujący list:

„Szanowny Panie!

Nie znam nikogo, kto mógłby mi pomóc na tym świecie. Jestem sierotą nie znałam mojej matki. Dwa lata temu ojciec mój umarł nagle na atak serca i nie zostawił testamentu. Przy pomocy notariusza i wiernego rządcy, sporządziłam spis książek. Oprócz tego znalazłam w koszach kilka tysięcy tomów dzięki którym mogłam dotychczas żyć dostannie. Dziś znalazłam kartę, której dokładny odpis panu przesyłam. Pod tą kartą ojciec mój napisał, że jeden z urzędników nazwiskiem Pellugro uciekł, przywłaszczając sobie sumę czterech milionów funtów sterlingów. Ojciec mój począł śledzić złodzieja i dowiedział się, że ukrył on swój łup na bezludnej wyspie. Następnie człowiek ten uciekł do Paryża, zabierając z sobą niewielką czastkę swoich bogactw. W międzyczasie Pellugro zmarł. Zatrzymano go w Paryżu w trakcie bójki pomiędzy nim a policjantami. W bójce tej został śmiertelnie ranny i umarł. Postanowiłam, że ja sama udam się na poszukiwanie skarbu mego ojca. Obecnie jestem bez środków do życia. Czytałam w gazecie, że pan pomaga biednym i wydziedziczonym. Marzę o tym, aby przyszedł mi pan z pomocą. Chwilowo mieszkam w pensjonacie w Londynie.

Melania Hoppe.

Raffles kilkakrotnie odczytał list.

— Dziwne żądania stawiają teraz młode dziewczęta. Zdaje się, że pomyliła mnie z Scheerlockiem Holmesem. Zawiedzie się, niestety. Mam rozpo-

znąć poszukiwania skarbu, wynoszącego cztery miliony funtów sterlingów, na bezludnej wyspie.

Raz jeszcze przeczytał list, sądząc, że może znajdzie w nim słowa wyjaśnienia.

— Typowo kobieca cecha — rzekł Raffles. — Mam pomóc tej młodej damie, a nie wiem nawet gdzie mieszka.

Do listu dołączona była kartka, o której wspominała autorka.

— Ciekawy rysunek — rzekł do Charleya Branda — Wyspa ma kształt raka. Trudno uwierzyć, że istnieje kawał lądu, mającego ten kształt. Ponadto nigdy nie słyszałem, aby wyspa pochodzenia wulkanicznego, była otoczona rafami. Spójrz tylko:

Charley Brand pochylił się nad kartą i potrząsnął głową.

— Może będziemy mogli dostać u Cooka trochę bliższych informacji o tej wyspie.

— Myślałem już o tym — rzekł Raffles. — Trzeba będzie spróbować.

Obydwa przyjaciele udali się do biura podróży Cooka. Skierowano ich do działu naukowo-geograficznego. Trzech urzędników na próżno przeszukało atlasy. Wreszcie natrafili na odbitkę starej mapy z szesnastego wieku. Na mapie tej znaleźli coś, co przypominało kontury wyspy z rysunku. Brakowało tylko raf koralowych, widniejących na rysunku Rafflesa. Prawdopodobnie — tłumaczono sobie — autor rysunku pomylił się, biorąc za rafy koralowe przybrzeżne ławice piasku. Wyspa nosiła nazwę Rocky Island i położona była na morzach południowych na zachód od Islandii.

— Będą tam panowie mogli dojechać naszym okrętem — rzekł urzędnik. — Podróż potrwa cztery dni. W Southampton zastaną panowie okręt, który rusza jutro do Islandii. Jest to naprawdę okręt rybacki, wyruszający na połów wielorybów, nie oczekujcie więc panowie wielkiego komfortu.

Opuściwszy biuro towarzystwa, Raffles wstąpił z Charleyem do restauracji.

Obaj jedli w milczeniu. Po skończonym posiłku, Raffles zapalił papierosa.

— A więc jutro wyruszam do Islandii na poszukiwanie wyspy skarbow.

— Odradzam ci to jak najgorzej — rzekł Charley — Kto wie, czy wyspa wskazana nam przez Cooka jest ta, której szukasz?

— Obojętne — odparł Raffles. — Podróż stanowi doskonałe odprężenie dla nerwów. Jutro wyruszam w drogę.

— W takim razie jadę z tobą — odparł Charley.

★

Na okręcie oprócz naszych przyjaciół, znajdował się tylko jeden jedyny pasażer. Pasażerem tym był Mc Intosh.

Podawał się za rybaka i Raffles nie domyślał się nawet, że człowiek ten był autorem listu, który otrzymał. List ten napisał Mc Intosh, po to, aby zwabić Rafflesa na bezludną wyspę i tam go zamordować.

W czasie podróży Mc Intosh komunikował się niewiele z Rafflesem. Unikał każdej okazji, która mogłaby ich zbliżyć. W czasie ucieczki z zesłania Mc Intosh wylądował przypadkiem na niewielkiej wyspie na zachód od Islandii i wiedział, że wyspa ta jest bardzo rzadko odwiedzana przez żeglarzy.

Natychmiast po wylądowaniu w porcie islandzkim Mc Intosh znikł. Raffles ruszył na poszukiwanie skunera, któryby mógł go przetransportować wraz z Charleyem na nieznaną wyspę. Po dwóch dniach daremnych poszukiwań, znalazł wreszcie coś

odpowiedniego. Droga na bezludną wyspę zajęła im całą dobę. Gdy wylądowali na brzegu niegościnniej wyspy, zastali już tam jakąś barcę. Właściciel skumera nie posiadał się ze zdziwienia. Sądził, że wyspa ta jest całkowicie bezludna. Raffles kazał mu zaczekać na siebie przy brzegu przez trzy dni.

— Bądźcie ostrożni — rzekł stary marynarz. — Ta wyspa jest niebezpieczna. — Rok temu sprowadziłem do północnej części tej wyspy całą grupę złożoną z Anglików i Niemców. Żaden z nich nie powrócił. Potopili się widocznie w bagnach lub jeziorach gorącej lawy. Ten kraj pożera ludzi. My rybacy nazywamy Islandię przedśionkiem piekieł. Wszędzie pełno tu wulkanów.

Raffles podziękował Islandczykowi za ostrzeżenie i wraz z Charleyem ruszył w drogę. Zabrali z sobą wełniane kołdry, kilofy, sznury i trochę żywności.

Wyspa istotnie wyglądała niegościnnie. Co krok ostre skały, zwały lodu lub przepaści grodziły im drogę. Mimo to Raffles zdołał zachować kierunek wskazany na rysunku, załączonym do listu. Wieczorem postanowili odpocząć w jakiejś grocie. Raffles zabrał się do ogrzania na maszynie spirytusowej mocnego grogu.

— Hotel — rzekł Raffles — nie jest zbyt wygodny. Musimy się zadowolić tym, że powietrze jest tu lepsze, niż w naszym mglistym Londynie, gdzie co krok możemy natknąć się na inspektora Baxtera, lub któregoś z detektywów.

— Istotnie. — Tego rodzaju spotkanie nam nie grozi — odparł Charley ze śmiechem. Nie sądzę, aby oprócz ciebie i mnie znajdował się jakiś człowiek żywy na tej wyspie.

— I ja tak przypuszczam — odparł Raffles, owijając się kocem.

Spał już od kilku godzin. Nagle Charley Brand obudził się: do uszu jego doszedł lekki szelest u wejścia do groty.

Spojrzał i ujrzał postać ludzką. Nieznajomy stał tuż obok otworu i spoglądał do środka.

Jakkolwiek nie zbyt skłonny do obaw, Charley Brand zadrżał. Człowiek położył się płackiem na ziemi i zbliżał się pełzając. Serce młodego człowieka przestało bić. Chciał krzyknąć, lecz głos zamierał mu w gardle. Chciał dać znak Rafflesowi, który spał spokojnie rozciągnięty niedalego niego — lecz czionki jego sparaliżowane przez strach odmówiły mu posłuszeństwa. Nie ulegało kwestii, że człowiek ten żywił złe zamiary. Nie było chwili do stracenia. Nieznajomy nachylił się nad Rafflesem. Jego podniesiona do góry ręka, uzbrojona w sztylet, zawisła tuż nad piersią Tajemniczego Nieznajomego. W świetle księżyca ostrze sztyletu zaśniło zimnym blaskiem. Charley odzyskał głos: głośny krzyk rozdarł ciszę. Raffles zerwał się.

— Co się tu dzieje? — zawołał spoglądając na Charleya Branda.

Charley Brand nie przyszedł jeszcze do siebie po przeżytym wzruszeniu. Napastnik zbiegł, jak gdyby rozplątał się w ciemnościach nocy. Charley w chaotycznych słowach opowiedział Rafflesowi przebieg sceny, której był świadkiem. Tajemniczy Nieznajomy potraktował go z dobrotliwą ironią: uważał, że cała ta scena miała miejsce w jego bujnej wyobraźni. Mimo to, po chwili poważniał i poddał grocie drobiazgowej inspekcji. Nie natrafił jednak na żaden ślad tajemniczego gościa. Reszta nocy minęła im na czuwaniu. Poczeli rozprawiać o propozycji, jaką uczynił Rafflesowi mister Geiss. O

wschodzie słońca ruszyli w dalszą drogę. Raffles rozglądał się dokoła chcąc sprawdzić, czy nie dojrza gdzie śladu tajemniczego gościa. Na skalistym gruncie trudno było szukać odcisków stóp. Z zapadnięciem wieczora podróżni byli już w niewielkiej odległości od miejsca, w którym miał być ukryty skarb. Noc zapadała zbyt szybko, aby mogli myśleć o dalszej drodze. Rozciągnęli się pod skałą, tworzącą nad ich głowami rodzaj naturalnego dachu. Postanowili, że każdy z nich kolejno będzie czuwał.

Okolic północy Charley Brand postanowił zbudzić swego towarzysza. Nagle uczuł, że potężne ramiona chwyciły go z tyłu. Jednocześnie ktoś ścisnął go za gardło tak silnie, że nie mógł wydobyć głosu. Coś uniosło go w górę razem z pledem.

Był to Mc. Intosh.

Na próżno Charley Brand usiłował wyzwolić się z uścisku. Napastnik posiadał herkulesową siłę. Bez najmniejszego zmęczenia niósł swą ofiarę i rzez blisko sto metrów. Charley zrezygnował z dalszego oporu. Dziwna rzecz: mózg jego pracował ze zwykłą sprawnością. Nie rozumiał, jaki cel mógł mieć ten człowiek, porywając go. Przeczucie mówiło mu, że zamach ten był skierowany nietylko przeciwko niemu. Nie miał możliwości ostrzeżenia Rafflesa. Oczywiście wyobraźni widział już swego przyjaciela ze sztyletem zatopionym w piersi.

Człowiek, który go niósł zatrzymał się nagle i rzucił na ziemię swój ciężar. Charley Brand wy dostał się wreszcie ze swego koca. Ale nieprzyjaciel był jeszcze bardziej szybki, niż on. Gdy tylko wyprostował się, brutalna ręka chwyciła go za szyję i przyduśiła twarzą do ziemi. Następnie jakiś ramię otoczyło go i Charley uczuł, że został podniesiony do góry. Oczywiście rozszereżonymi przeżęciami spoglądał w przepaść, z której powstawały siłne mgły.

Jego kat trzymał go w tej pozycji przez kilka minut. Nieszczęsny, zawieszony nad przepaścią przeżywał w ciągu kilku sekund najpiekniejsze tortury. Nie miał nadziei, że się wyratuje. Czuł, że jest zgubiony i posiadał tego pełną świadomość. Jeszcze raz spojrział dokoła, jak gdyby chcąc zachować na zawsze wspomnienie miejsca swej śmierci. Dokoła niego piętrzyły się poszarpane skały. Sto metrów poniżej czarne jeziora lśniły niesainowicie w świetle księżyca. W pobliżu wznosiły się białawe mgły, których pochodzenia Charley Brand nie potrafił sobie na razie wytłumaczyć. Zdawał sobie sprawę, że te potężne słupy wrzące wody wychodziły z jakichś podziemnych źródeł. Drżał na myśl o tym, że za chwilę ciało jego spadnie ku tym bezdennym czeluściom.

Mc. Intosh przyszedł do wniosku, że tortura trwała już dostatecznie długo. Raz jeszcze potrząsnął ciałem i rzucił je w przepaść. Następnie ruszył w stronę Rafflesa, chcąc mu zgotować ten sam los. Tym razem nie udało mu się tak łatwo. Zbudzony krzykiem Charleya, powtórzonym przez echo górskie Raffles skoczył na równe nogi. Spostrzegł, że miejsce obok niego było puste. W chwili, gdy zastanawiał się co mogło się przytrafić przyjacielowi, jakiś cień ludzki wynurzył się z mroku. Zanin Raffles zdążył zrobić użytek z broni, napastnik skoczył na niego, jak tygrys i chwycił go za gardło.

Wywiązała się rozpaczliwa walka. Słychać było tylko ciężki oddech dwóch walczących na śmierć i życie.

Mc. Intosh nie docenił siły Rafflesa. Tajemniczy Nieznajomy był niższy od Mc. Intosha i nie dorównywał mu potęgą mięśni. Górował jednak nad

nim zrecznością i techniką walki. Mc. Intosh widząc, że nie łatwo mu będzie dać sobie radę z przeciwnikiem, sięgnął do kieszeni po nóż.

Ten ruch go zgubił. Korzystając z chwilowego oswojonego uścisku, Raffles dzielił go potężną pięścią w skroń.

Bandyta zwał się na ziemię jak drzewo, którego podcięto korzenie. Nie tracąc czasu Raffles związał swego przeciwnika sznurami, które miał przy sobie. Irlandczyk oprzytomniał wkrótce. Wzdając, że dostał się w moc Tajemniczego Nieznajomego, zgrzytnął zębami w bezsilnej wściekłości.

— Podły pies! — zawył.

Raffles zapalił papierosa i puścił dym prosto w twarz swego więźnia. Poznał w nim rybaka, który przybył do Islandii tym samym, co i on statkiem. Raffles usiadł naprzeciw z rewolwerem w ręce. Nadstawił uszu. Żaden głos nie maścił ciszy nocnej. Widząc, że Raffles nie przejmując się zupełnie jego przekleństwami, Mc. Intosh zamilkł. Dusił się tylko swą wściekłością i do krwi zagryzał wargi.

Raffles z niecierpliwością oczekiwał na wschód słońca. Gdy tylko poczęło szarzeć, ruszył w drogę. Obdarzony niezwykłym darem orientacyjnym bez trudu domyślił się, w jakim kierunku zamieszkała ta nocny Charleya. Tu i owdzie na załamaniach skał widział małe ździebka wełny pochodzącej z koca Charleya. Wełna ta znaczyła wyraźnie ślad. W ten sposób Raffles doszedł do miejsca, z którego Charley został zrzucony. W dole bił gejzer i rozpraszające się kropelki wrzącej wody nie pozwalały Rafflesowi zorientować się w głębokości przepaści.

Przyłożył obie dłonie do ust i zawołał:

— Charley! Charley!

— Hallo! — odpowiedział mu jakiś głos, który zdawał się dochodzić z pobliza.

— Gdzie jesteś?

— Zaledwie o dwa metry od ciebie. Jest tutaj występ skalny, zasłonięty przez parę geizeru. Biorę właśnie parową kąpiel. Starałem się wdrapeć na skałę, ale jest zbyt ślisko.

— Poczekaj, pomogę ci.

Raffles zdjął marynarkę, skrecił ją w rodzaj sznura i zawiesił ponad miejscem, gdzie przypuszczalnie znajdował się jego przyjaciel. Nagle uczył wstrząs.

— Złapałem — rzekł Charley. — Podciągnij mnie w górę.

Powoli przekładając ręce, Raffles wciągnął Charleya na brzeg skały. Sekretarz był zupełnie mokry.

— Mam dosyć łaźni parowej na całe życie — rzekł ze śmiechem.

— Czy nie jesteś przypadkiem ranny?

Charley potarł kolana i łokcie.

— Szczęśliwie mi się udało — rzekł. — Ekstrzucił mi głowę na dół. Pewien byłem, że zgine w głębi przepaści. Nagle ręce moje natrafiły na ten występ. Chwyciłem się go i padłem na brzuch. Tylko kolana moje ucierpiały.

— Bądź szczęśliwy, że przygoda ta zakończyła się tak pomyślnie. A teraz jeśli chcesz mnie słuchać, biegij czym prędzej do obozowiska i zmień ubranie. Znajdziesz tam skrupowanego niedznika, który chciał cię pozbawić życia. Mam okropną ochotę rzucić go, zamiast ciebie, w głąb gejzeru.

Mc. Intosh rzucił Rafflesowi pełne nienawiści spożyczenie.

— Niech was diabli porwą! — mruknął.

— Przegrałeś — rzekł Raffles. — Chciałbym jednak wiedzieć co miał przeciwko nam.

— Powieście się! I tak wam nie odpowiem.

Raffles zebrał trochę suchego drzewa i rozpałił ognisko. Chciał, aby Charley mógł osuszyć przy nim przemoczzone ubranie. Następnie zabrał się do przygotowania posiłku.

— Wkrótce ruszymy na poszukiwanie skarbu — oświadczył. — Więźnia zostawimy tutaj.

— A jeśli wymknie się? I zaatakuje nas znowu?

— Gorzko za to odpokutuje — odparł Raffles. — W drogę!

Po dwóch godzinach marszu przybyli do miejsca, wskazanego na karcie. Duży kamień, który miał wskazywać miejsce ukrycia skarbu, znajdował się tam istotnie. W pobliżu widoczne były ślady ślów.

Raffles zabrał się do kopania. Po jakimś czasie ostrze łopaty zahaczyło o drewnianą kaseta. Rozbił ją z łatwością przy pomocy swych narzędzi. W środku znajdowała się inna kaseta, żelazna, zamknięta na silne zamki.

— Otóż jesteśmy właścicielami skarbu — rzekł Raffles. — O ile się nie mylę, człowiek, który nas zaatakował wiedział również o jego istnieniu. Chciał nas zgładzić, aby zawładnąć pieniędzmi. Nie kusząc się o jej otworzenie postaramy się przenieść tę kaseta na pokład statku...

Okazało się, że była za ciężka, aby ją nieść, Raffles przymocował ją do sznura i obaj przyjaciele ciągnęli ją za sobą.

Na widok Charleya i Rafflesa, powracających ze skarbem, Mc. Intosh zatrzęsł się w bezsilnej wściekłości.

Raffles bowiem istotnie odkrył jego skarb.

Irlandczyk do tego stopnia zlekceważył swego przeciwnika, że przesłał Rafflesowi prawdziwy opis miejsca ukrycia skarbu. Tam właśnie ukrył przed laty skradzione miliony. Przez długi, długi czas zakopywał w tym samym miejscu dalsze swoje łupy. Teraz właśnie, gdy uważał się już za człowieka dostatecznie bogatego, postanowił zawieźć swój majątek do Londynu i żyć z procentów od kapitału.

— Martwisz się, żeśmy znaleźli twą skarbonkę? — zaśmiał się Raffles. — Bądź spokojny, postaramy się zrobić właściwy użytek z jej zawartości.

— Cóż pocniemy z tym człowiekiem? — zapytał Charley Brand. — Po tym, co nam zrobił, zasłużył na kulę w łeb.

— Po co niszczyć naboje? — odparł Raffles. — Zostawimy go tutaj na tej bezludnej wyspie, wraz z jego opróżnioną kaseta. Kara ta będzie dla niego stokroć surowsza, niż gdybyśmy go zastrzelili od razu. A teraz w drogę!

Nie zwracając najmniejszej uwagi na lamenty Mc. Intosha, ruszyli w stronę barki. Następnego dnia bez dalszych przygód dosięgli brzegu i załadowali skarb na pokład skunera.

Raffles prokurentem

Minał tydzień od czasu, jak Charley i Raffles wrócili do Londynu. W metalowej kasecie znaleźli pliki banknotów i ciężkie sztaby złota.

Raffles przebrał się, jak za pierwszym razem i udał się do Geissa.

Finansista przyjął go z kwaśnym uśmiechem. Widać było, że nie spodziewał się tej wizyty.

— Cieszę się, że pana widzę, drogi przyjacielu — rzekł. — Obawiałem się, że się panu mogło przytrafić jakieś nieszczęście. Proszę niech pan siada iordzie. Gdzie pan był przez cały czas?

— Byłem w podróży — odparł Raffles powoli,

nie spuszczać z Geissa wzroku.

— Gdzież to pan wędrował?

— Byłem w Islandii — odparł Raffles.

Zauważył, że na dźwięk tych słów Geiss pobił się silnie. Fakt ten wzbudził w nim podejrzenie, że Geiss miał coś wspólnego z tajemniczym zamachem.

— Co pan robił na Islandii? — zapytał Geiss tonem, któremu starał się nadać brzmienie obojętności. — To kraj opuszczony przez Boga i ludzi.

— O nie — odparł Raffles. — To idealne miejsce dla ludzi, szukających wypoczynku. Gdyby moja obecność nie była tutaj konieczna, byłbym przedłużył tam swój pobyt.

— Pan żartuje — odparł Geiss. — Jestem szczęśliwy, że pana widzę znowu. Mogłoby się panu łatwo przytrafić tam jakieś nieszczęście. Wyspa jest wulkaniczna i niebezpieczna.

— O nie — odparł Raffles śmiejąc się. — Nieszczęścia przytrafiają mi się rzadko, ponieważ jestem ostrożny i zwracam na wszystko uwagę. Gdybym był takim samym w młodości miałbym do dzisiaj mój majątek, który umieścił pan w swoim banku. Byłbym czcigodnym lordem Listerem i tak, jak mój ojciec zostałbym może z czasem przyjacielem króla. Zamiast tego, nauczywszy się pilnie obserwować swych bliźnich, stałem się Rafflesem.

— Niech pan nie wymawia tego nazwiska — rzekł mister Geiss. — Czytałem o panu tyle, że na sam dźwięk pańskiego nazwiska, dostaje gęsiej skórki.

— To ciekawe — rzucił Raffles. — Wiele osób mówiło mi to samo.

— Mianowicie, co? — zapytał Geiss.

— Że pan powinien obawiać się mnie.

— Wolne żarty! — rzekł Geiss urażony. — Mówmy raczej o interesach.

— Jest to najpiękniejszy interes jaki mi dotąd zaproponowano.

Ledwie widzialny uśmiech zarysował się dookoła jego ust.

— Sprawa przedstawia się wspaniale i powodzenie jej jest zapewnione, gdy tylko przedostanie się pan do banku, bez trudu zawładnie pan pieniędzmi.

— Tym gorzej. Kocham niebezpieczeństwo. Łatwa impreza nie pociąga mnie.

— Żałuję. Chwilowo jednak nie mam panu nic innego do zaproponowania. Czy zechce pan przyjść jutro? Wtajemniczę pana w arkana pańskiego nowego stanowiska.

— Prokurent banku! Nie marzyłem nigdy o tym, że zajdę aż tak wysoko.

— Zostawmy to — przerwał Geiss rozpromieniony. We dwóch razem dokonamy nadzwyczajnych cudów. Wyobraź pan sobie, że jestem zaledwie od kilku dni na moim nowym stanowisku, a już zdołałem podwyższyć o jeden milion funtów sterlingów wysokość depozytów. Wspaniały pomysł! — dodał grubas uderzając Rafflesa jowialnie po ramieniu. — Kapitalistów można łatwo wziąć na lep wysokich procentów!

— Tak, to prawda — zawołał Raffles.

Obydwa mężczyźni zamienili jeszcze kilka słów, po czym Tajemniczy Nieznajomy opuścił mieszkanie Geissa.

Następnego ranka mister Geiss wprowadził Rafflesa na jego nowe stanowisko. Tajemniczy Nieznajomy, został mianowany pierwszym prokurentem banku Lincoln. Wszystkie pieniądze przechodziły przez jego ręce. Czeki podpisywane przezeń się-

gały milionów. Posiadał klucze od podziemi, w których znajdowały się depozyty.

Raffles był wzorowym urzędnikiem. Geissa dziwił nieco ten zapach. Nawet po zamknięciu biur Raffles zostawał jeszcze z godzinę i pracował. Geiss zapytał go o przyczynę.

— Robię to po to, aby w wypadku ujawnienia przestępstwa, podejrzenia urzędników zwróciły się przeciwko mnie.

— Nie rozumiem pana.

— Czy pan nie słyszy tego, co dookoła pana szeptają? Mówią, że zostaje po odejściu urzędników, tylko po to, aby fałszować rachunki, i aby zacięrać w ten sposób ślady dokonywanych nadużyć.

— Pozory istotnie przemawiają przeciwko panu — odparł Geiss. — Ja sam żywiłbym podobne obawy w stosunku do każdego innego urzędnika.

Prezes zarządu banku Lincoln rozstał się z Rafflesem całkowicie uspokojony. Byłby prawdopodobnie w innym nastroju, gdyby wiedział, że jego pierwszy prokurent trawi dodatkowe godziny na przepisywaniu listy depozytariuszy, którzy złożyli swe oszczędności w banku. Obok każdego nazwiska wypisywał wysokość depozytu.

Klientami banku byli przeważnie drobni kupcy i drobni ciułacze urzędnicy, wdowy i sieroty. Sumy składane przez nich w banku były minimalne. Dla każdego z nich jednak suma ta przedstawiała cały majątek, owoc pracowitego żywota, często zabezpieczenie na starość.

★

Mister Geiss posiadał w okolicach Londynu wspaniałą willę, w której prawie każdego wieczora odbywały się wspaniałe przyjęcia. Lubił roztaczać przed ludźmi swe bogactwa: wydając wspaniałe przyjęcia umacniał kapitalistów i ludzi bogatych w przekonaniu, że rozporządza wielkimi środkami, że można mu bezpiecznie powierzyć pieniądze.

Raffles za każdym razem odrzucał jego zaproszenie.

Noc już miała się ku końcowi i mister Geiss spał spokojnie w swej sypialni. Nagle spostrzegł, że jakiś człowiek wślizgnął się do jego pokoju.

Mister Geiss ocknął się gwałtownie z pierwszego snu. Poznał bez trudu stojącego przed nim człowieka. Był to Mc. Intosh.

— Czy to ty, czy twój cień? — zapytał Geiss. — Spoglądał na gościa przerażonym wzrokiem.

— To ja — odparł Mc. Intosh. — Ależ na Boga! Z trudem udało mi się dotrzeć tutaj!

— Sądziłem, żeś umarł. — Co ci się przytrafiło?

— Piekielna awantura z Rafflesem — odparł Mc. Intosh, zgrzytając zębami. — Spójrz pan — dołdał odchylając mankieta.

Pokazał Geissowi opuchnięte i sine kostki u rąk.

— Skąd to? — zapytał finansista.

— Skutki sznura, którym mnie związał ten pies.

— Związał cię? Jakże do tego doszło?

— Niech go diabeł wezma — odparł Irlandczyk zaciskając pięści. — Od początku miałem niejasne przeczucia, że nie dam sobie rady z królem wiamywaczy. Niestety, nie dorastamy mu nawet do pięt. Plan mój opracowałem wspaniale, i przybyłem na bezludną wyspę na dzień przed przybyciem Rafflesa i jego przyjaciela. Szedłem ich od chwili wylądowania i następnej nocy wślizgnąłem się aż do ich obozowiska. Miałem zamiar wrzucić ich kolejno jednego po drugim do przepaści, których tam jest pełno. Zdażyłem już unieszkodliwić tego

Złotodzioba. Sądziłem, że na zawsze. Niestety, nie przewidziałem, że jego krzyk w chwili, gdy zrzuciłem go z wysokiej skały w przepaść, zostanie dostrzymany przez Rafflesa. Gdy powróciłem do obozowiska Raffles czekał na mnie i zwyciężył mnie w walce, która wówczas się wywiązała. Pokonał mnie i związał.

— Głupia historia — rzekł Geiss. — W jaki sposób wydostałeś się?

— To nie było łatwe. Następnego ranka Raffles zdołał wydostać swego przyjaciela z miejsca w jakie go wrzuciłem. Nie zrobił sobie nic złego. Na tej przeklętej wyspie nie można sobie zdać absolutnie sprawy, czy skała jest stroma, czy też posiada występy. Gejzery gorącej wody utrudniają widzenie. Mówiąc krótko, Raffles zostawił mnie na wyspie ze związanymi rękami i nogami.

— W jaki sposób udało ci się oswobodzić z więzów.

— Przerwać je było niesposób. Ale w pobliżu pozostawił płonące ognisko. Zębami wyciągnąłem z żaru płonącą głównię i położyłem ręce w ten sposób, że ogień spalił sznur. Oczywiście przypiekłem mocno ręce. Cierpiałem niesłychanie ale lepszy ból niż powolna śmierć na pustkowiu.

Geiss wysłuchał z uwagą historii ucieczki.

— Straciłem już nadzieję, że się z tobą zobaczę — rzekł. — Porozumiałem się już z Rafflesem, aby ukradł dla nas miliony złożone w naszym banku.

— Toż to szaleństwo — zawołał Mc. Intosh — Wprowadziłeś wilka do owczarni. Skradnie miliony, ale dla siebie, nia dla nas.

— Nie stracę go z oczu — rzekł Geiss. — Trudno mu będzie nas oszukać.

Mc Intosh wybuchnął śmiechem i uderzył się wesoło w uda.

— Czego się śmiesz? — zapytał Geiss. — Czy widzisz coś zabawnego w tym, co powiedziałem?

— Oczywiście! Podziwiam twoją zarozumiałość. Uważasz się za równego Rafflesowi...

— Dam sobie z nim radę! — Bylebyś tylko ty nie pomieszał mi szyków. A teraz idź do swego pokoju i wypoczni. Jutro wrócimy do tej rozmowy.

— Czyś powiedział służbie dokąd pojechałem. — zapytał Mc. Intosh stojąc na progu.

— Powiedziałem, żeś wyjechał do Paryża.

Gdy znalazł się w swoim pokoju Mr. Intosh zacisnął pięści i zawołał:

Nie pozwolę z sobą igrać nawet Rafflesowi! Nie dam mu się tak łatwo. Zawiadomię inspektora policji Baxtera, jaki ptaszek uwił sobie gniazdko w Lincoln Banku. Jutro król włamywaczy znajdzie się pod kluczem, a człowiekiem, który położył kres jego karierze, będę ja.

Uspokojony tą myślą rzucił się na łóżko. Oddawna nie spał tak smacznie i dobrze.

Zdrada

Detektyw Marholm śmiał się tak serdecznie, że aż łzy spływały mu po tłustych policzkach. Przyczyna tej wesołości, był jak zwykle zwierzchnik jego Inspektor policji Baxter.

Inspektor stał przed swym podwładnym, trzymając jakiś list. Oczy jego rzuciły błyskawice.

— Przestańcie się śmiać — zawołał. — Jeśliby ktoś przyszedł, odniósłby wrażenie, że jest w kabarecie. Jesteśmy przecież w głównej komendzie policji.

— Wiem o tym — odparł Marholm, który z trudem starał się zapanować nad swą wesołością. — Cóż zrobić, kiedy cała ta historia przypomina raczej numer kabaretowy.

Inspektor policji począł chodzić po gabinecie nerwowymi krokami. Uspokoiwszy się nieco, stanął przed Marholmem:

— A więc wy nie wierzycie w informacje zawarte w tym liście? — zapytał. — Przeczytam go wam wobec tego jeszcze raz.

Rozłożył przed sobą list, napisany na dość pospolitym papierze.

„Główna Kwatera Policji Scotland Yard. Inspektor Baxter.

Szanowny Panie Inspektorze!

Niniejszym zawiadamiam pana, że Raffles, którego pan poszukuje oddawna, pracuje w charakterze pierwszego prokurenta w banku Lincoln. Zamierza on w najbliższej przyszłości ukraść z banku depozyty, wynoszące kilka milionów funtów. Niech się pan śpieszy z aresztowaniem go, zanim nie wykona swego planu.

Przyjaciel.“

— Wspaniały przyjaciel — zaczął Marholm. — Jakiś żartowniś, który chce pana ośmieszyć w oczach całego Londynu. Raffles dokuczył już panu do tego stopnia że gotów pan jest przyjąć lorda majora Londynu również za Tajemniczego Nieznajomego. Niechże się pan zastanowi nad tym nonsem. Pierwszy prokurent banku Lincoln musi być człowiekiem pod każdym względem bez zarzutu. Przez ręce jego przechodzą co dzień miliony. Człowiek, zajmujący to stanowisko, musi się wykazać całą swą przeszłością, a dokumenty jego i życiorys są sprawdzane z niezwykłą starannością przez prezesa rady nadzorczej banku. Nawet pan, nie mógłby pretendować do tego stanowiska...

— Może macie i rację — odparł Baxter, gryząc nerwowo swoje cygaro.

— Jestem pewny, że mam rację — rzekł Marholm. — Podejrzewam, że to sam Raffles wysłał nam ten list. To przecież nie pierwszy jego kawał.

— Niestety — westchnął Baxter — przypominając sobie psikusy, jakie mu często płał Tajemniczy Nieznajomy.

Wtej chwili zapukano do drzwi. Dyżurny policjant wprowadził do gabinetu jakiegoś posłańca. Posłaniec ten wręczył Baxterowi list.

— Od kogo to? — zapytał Baxter podejrzliwym tonem. —

— Jakiś człowiek dał mi go na ulicy i polecił oddać go panu. — odparł posłaniec. —

— Jak on wyglądał?

— Nie umiem go określić... Poznałbym go z pewnością.

— Dobrze. Zanotuję wasz numer. Jeśli będziecie mi potrzebni wezwę was do siebie.

Po wyjściu posłańca Baxter otworzył list.

— Drugi list w tej samej sprawie.

Zaledwie przebiegł go oczyma, skoczył w stronę swego sekretarza.

— Posłuchajcie co tu jest napisane — rzekł. — Szanowny Panie!

Przechodząc obok banku Lincoln stwierdziłem, że list mój pozostał bez echa i Raffles wedle wszelkiego prawdopodobieństwa będzie mógł wykonać z łatwością swój projekt. Wzywam pana raz jeszcze do wszczęcia natychmiast niezbędnych kroków. Bank zostanie zamknięty za godzinę i nie będzie pan już mógł przystąpić do aresztowania

Tajemniczego Nieznajomego. Niech się pan śpieszy. Przyjaciel.

Co za bezczelność — zawołał detektyw Marholm. — Ten człowiek dał już prawdopodobnie znać wszystkim dziennikom londyńskim i jeszcze dzisiaj wieczora będziemy przedmiotem ogólnych kpin!

Inspektor Baxter spojrział w zdenerwowaniu na swego sekretarza?

— Cenię wasze zdanie Marholm, i przyznaję, że tym razem pokrywa się ono całkowicie z moim. Cóż jednak się stanie, jeśli autor listu mówi prawdę i jeśli Raffles istotnie planuje nową niezwykłą kradzież? Wówczas na nas spadnie cała odpowiedzialność. —

— To co pan mówi, panie inspektorze nie wytrzymuje krytyki. Dał się pan złapać na list jak ryba na przynętę. Ponieważ jednak nie ja mam prawo wydawania rozkazów, poproszę tylko, aby nie brał mnie pan z sobą na tę wyprawę policyjną do Lincoln Banku. Nie mam najmniejszego zamiaru bawić wszystkich moim kosztem.

— Będę działał z jaknajdalej idącą ostrożnością — udam się przedewszystkim do prezesa rady nadzorczej banku i podzielę się z nim treścią tego listu.

W pół godziny po tym Baxter zajął się w pokoju przyjęć Geissa w gmachu banku Lincoln. Czytając list, dyrektor Geiss zbił lekko. Zmieszanie jego trwało tak krótko, że Baxter nawet go nie spostrzegł.

— Padł pan ofiarą niesmacznego żartu — zaśmiał się Geiss. — Pierwszy prokurent naszego banku sir John Gover jest osobą, stojącą ponad wszelkimi podejrzeniami. Jeśli pan chce, mogę go natychmiast wezwać, aby się pan sam przekonał naocznie, z jakiego rodzaju człowiekiem mamy do czynienia.

Baxter nie przyjął propozycji i rzekł:

— Jestem tego samego zdania, że mamy tu do czynienia ze zwykłym żartem. Obowiązkiem moim było zawiadomić o tym pana.

Pożegnał Geissa i opuścił gmach banku. Natychmiast po jego wyjściu Geiss wezwał do siebie Rafflesa.

— Mam tu pomiędzy nami jakiegoś zdrajcę — rzekł. — Przed chwilą wyszedł stąd inspektor Baxter. Dowiedział się, dzięki anonimowemu listowi że pan wchodzi w skład personelu banku. Udało mi się wmówić mu, że chodzi tu o zwykłą mistyfikację i Baxter zgodził się z moim zdaniem.

Raffles nie spuszczał oczu z twarzy Geissa. Węszył nowy podstęp.

— To niemożliwe — oświadczył. — Nikt nie może wiedzieć o tym, że pracuję w banku.

— Jeszcze raz stwierdzam, że to co powiedziałem jest prawdą. Musi pan jeszcze dzisiaj nocy wykonać nasz plan. Jutro może być zapóźno.

— All right! Mam klucze od podziemi. Wystarczy otworzyć i wziąć pieniądze.

— Ile mamy depozytów?

— Cztery miliony — odparł Raffles. —

— Szkoda — rzekł Geiss, bębniąc palcami po stole. — Sądziłem, że będziemy mogli odwiec moment kradzieży aż do chwili, gdy wysokość depozytów osiągnie sześć milionów. Dzięki tym przekętym listom tracimy dwa miliony. Nie wolno nam jednak czekać dłużej. Najmniejsza zwłoka grozi nam niebezpieczeństwem.

Dobrze więc. Jeszcze dziś w nocy dokonam włamania.

— Ja ze swej strony, przyślę o godzinie czwartej nad ranem auto, które będzie czekało na pana za rogiem ulicy. Będzie mógł pan przewieźć pieniądze do mojej willi.

— All right. Zobaczymy się jutro.

Po wyjściu Rafflesa Geiss szybko udał się do swego domu. Pięniąc się z wściekłości wpadł do pokoju Mc. Intosha. Irlandczyk leżał na kanapie z fajką w ustach.

— Jesteś największym osłem, jakiego widziałem w swym życiu, — zawył Geiss.

— Dlaczego? — zapytał Irlandczyk flegmatycznie.

Napisałeś do inspektora Baxtera dwa listy w sprawie Rafflesa i zdradziłeś przed nim nasze plany. Czyś oszalał?

— Bynajmniej — odparł Mc. Intosh, zaciągając się wonnym dymem. — Właśnie ty popełniasz karygodną nieostrożność, związując się z Rafflesem.

— Nie mieszaj się do moich spraw. A przede wszystkim nie wtrącaj się do spraw banku. Jaki miałeś cel pisząc te listy?

— Ocalić miliony.

— Piękny ratunek! Gdyby nie udało mi się uspokoić inspektora Baxtera i przekonać go, że ma do czynienia ze zwykłym żartem, byłbym już teraz w Scotland Yardzie, zamknięty w samotnej celi.

— Nie rozumiem. Może zechcesz mi to jaśniej wytłumaczyć?

— Przecież to oczywiste — odparł Geiss, — gdyby po otrzymaniu twego listu inspektor Baxter zaareztował Rafflesa, Raffles wskazałby następnie na mnie, jako na autora projektu.

— Nie pomyślałem o tym — odparł Mc. Intosh. — Mogłbyś przecież wyprzeć się wszystkiego.

— Wyprzeć się! Niczego nie mógłbym się wyprzeć! — Raffles posiada ode mnie dowód na piśmie. — Jakiego rodzaju? — zapytał Mc. Intosh niespokojnie.

— Jest to deklaracja stwierdzająca, że Raffles dokonał włamania do banku na mój rachunek i że jestem gotów podzielić się z nim wysokością łupu.

— Jesteś naprawdę najbardziej nieostrożnym człowiekiem, jakiego spotkałem w życiu. Gdzież twój rozum? Jak mogłeś dać temu człowiekowi podobne pismo.

— Żądał tego. Zresztą miałem do niego zaufanie...

— Zobaczysz, dokąd cię zaprowadzi to zaufanie. Sprawa utonęła!

— Widzisz wszystko w zbyt czarnych barwach.

— Chciałbym abyś miał rację. Kiedy Raffles zaczyna działać?

— Dzisiejszej nocy.

— All right! Jutro z naszych milionów nie będzie śladu.

W tym samym czasie Raffles, zajęty był w swym gabinecie wraz ze swym przyjacielem Charleyem Brandem adresowaniem setek kopert, do których wkładano listy do wszystkich depozytariuszy banku Lincoln.

★

Okolo godziny dziesiątej wieczorem Raffles wraz z Charleyem Brandem udali się do Banku Lincoln.

Dozorca nocny zdziwił się na ich widok. Poznał odrazu pana prokurenta i nie czyniąc trudności otworzył przed nimi ciężkie metalowe drzwi.

Raffles i Charley Brand weszli do westibulu. Cisza panowała w całym tym ogromnym gmachu. Raffles poprosił dozorcę ex-wojskowego, aby szedł przed nimi i oświetlał im schody latarka, umocowaną na piersi.

Przybywszy do biura Rafflesa, dozorca uczuł, że nagle napadnięto go z dwóch stron, i zanim zdążył krzyknąć, został związany.

Spojrzał na Rafflesa błagalnym wzrokiem i szepnął:

— Nie zabijajcie mnie!

— Nikt wam tu nie zrobi nic złego — odparł Raffles. — Przykro mi, że musiałem użyć wobec was siły. Nie możemy jednak przebierać w środkach. A teraz musicie pozwolić, że wam zakneblujemy usta.

Dozorca, sparaliżowany z przerażenia, nie stawiał najmniejszego oporu. Raffles wziął klucze od banku, latarnię i udał się wraz z Charleyem do podziemia, gdzie znajdowały się opancerzone pokoje, mieszczące depozyty. Otworzył z klucza drzwi, i zawładnął złożonymi milionami, — było to dla Tajemniczego Nieznajomego sprawą jednej chwili. Raffles schował banknoty do zwykłej drewnianej kasety. Wyszedł z banku wraz Charleyem Brandem. Zamknął spokojnie drzwi i, skierował się w stronę Oxford Street. Obydwaj przyjaciele zdążyli przebiec około stu kroków, gdy nagle Raffles szepnął do ucha Charleya Branda.

— Ktoś idzie za nami. Zwolnijmy kroku. Gdy człowiek ten z nami się z równa odwrócimy się nagle. W ten sposób przekonamy się z kim mamy do czynienia.

Posuwali się naprzód powoli. Natomiast nieznajomy zupełnie wyraźnie przyśpieszył kroku, gdy znalazł się już w odległości kilku metrów od obydwu przyjaciół, Raffles odwrócił się gwałtownie, wypuścił z rąk kasety z banknotami i skoczył do gardła człowiekowi, który z sztyletem w ręce gotował się do zadania mu ciosu.

Silne uderzenie pięści padło na skroń napastnika. Bandyta osunął się na ziemię.

— Możemy się już go nie obawiać — rzekł Raffles, — chowając do kieszeni jego nóż.

— Widziałem już tę twarz — rzekł Charley — Nie pamiętam tylko gdzie.

— Przecież to nasz stary przyjaciel, Irlandczyk, któregośmy zostawili skrapowanego na wyspie skarbów — rzekł Raffles. — Zuch z niego. Udało mu się zwiąć. Chciałbym wiedzieć, w jaki sposób dowiedział się o naszym planie ograbienia banku, i w jakich znajduje się stosunkach z Geissem. To musi być jego współnik. Od pierwszej chwili miałem wrażenie, że jest on tylko narzędziem w ręku Geissa, który za wszelką cenę postanowił się mnie pozbyć. Jutro rano dowiem się z jego ust, w jakim stopniu podejrzenia moje były słuszne.

Podnieśli z ziemi kasety z milionami i, nie interesując się więcej nieprzytomnym człowiekiem, znikli w ciemnościach nocy.

Okolo godziny czwartej nad ranem, auto przyślane przez Geissa, zatrzymało się w umówionym miejscu. Napróżno jednak czekano na Tajemniczego Nieznajomego. Po godzinie daremnego oczekiwania szofer wrócił i oznajmił Geissowi, że osobnik którego miał przywieźć nie zjawił się wcale.

Nowina ta wywarła na finansjście olbrzymie wrażenie. Co mu się mogło stać? Czyżby Mc. Intosh miał rację, że Raffles postanowił sam zagarnąć łup? Z przekleństwem na ustach rzucił się w stronę

pokoju Mc. Intosha. Nie było w nim nikogo. W chwili, gdy zastanawiał się, co się mogło przytrafić Irlandczykowi, drzwi otwarły się i stanął w nich Mc. Intosh.

Wzгляд jego był oplakany. Prawe oko miał podbite, a krew, która obficie spływała mu z nosa, splamiła cały przód jego palta.

— Co ci się stało? — zapytał Geiss, chwytając go niespokojnie za ramię. —

Ranny usiadł z trudem.

— Powinni byli już dawno zamknąć cię w domu wariatów! — zawołał Mc. Intosh.

— Skąd przychodzisz? — zapytał Geiss.

— Spotkałem się z Rafflesem. — Widzisz sam, jak mnie serdecznie przyjął. Przez pół godziny leżałem bez przytomności na Oxford Street. — Miliony diabli wzięli.

— Miliony? To niemożliwe! Raffles musi tu przyjść niedługo.

Mc. Intosh wybuchnął ironicznym śmiechem.

— Miałem rację. Nie wolno polecać łodziejowi, dokonania kradzieży, z której się samemu chce ciągnąć zyski. Jeszcze raz powtarzam, że miliony diabli wzięli. Szukaj teraz wiatru w polu. Nie zobaczysz z nich ani pensa.

Geiss usiadł. Nogi się pod nim ugięły.

— Czy to możliwe? — szepnął zduszonym głosem.

— Posłuchaj co mi się przytrafiło. Wziąłem mój malajski sztylet i zacząłem się przed Lincoln bankiem, czekając na wyjście Rafflesa i jego towarzysza. Gdyby był się skierował w stronę autobusu, tak, jak to było umówione, byłbym usiadł spokojnie obok szofera, którego znam i przyjechał tutaj. Przyznałbym wówczas ze skruchą, że się pomyliłem i wszystko byłoby w porządku. Ale stało się inaczej. Spełniło się to, co przewidywałem. Raffles zamiast pójść na lewo, skreślił na prawo. Zamary jego były jasne. Szedłem, kryjąc się za występami murów. Chciałem najpierw zasztyletować Rafflesa, potem zaś jego towarzysza. Byłbym prawdopodobnie dokonał swego, gdyby Raffles nie miał tak wyczulonego słuchu. W chwili, gdy gotowałem się do zadania mu ostatecznego ciosu, uciekł się do znanego manewru. Odwrócił się gwałtownie, skoczył na mnie i zdzielił mnie pięścią tak silnie, że długi czas zachowam o tym wspomnienie. Nie wiem co stało się później. Jedno jest pewne: Nie przyszedł i nie odda ci milionów.

Geiss stał się trupio błądy. Widział, że się pomylił. Jego zmęczony umysł nie podsuwał mu żadnego wyjścia z sytuacji.

— Przegraliśmy partię — rzekł Mc. Intosh, obmywszy twarz wodą. Gdybyś mnie był usłuchał i wydał tego człowieka w ręce policji, byłibyśmy teraz bogaci. Miałbym ochotę wychłostać się porządnie. Jedyna rada, jakiej mogę, ci udzielić to udać się o świcie do Scotland Yardu i złożyć zeznanie. Być może policja zdoła jeszcze odebrać łup.

Mister Geiss uchwycił się tej rady, jak deski zbawienia.

— Najmądrzej byłoby dla nas opuścić Londyn — rzekł Mc. Intosh. — Nie wiadomo jak się ta historia skończy.

Złapani we własne sidła

Następnego ranka okolo godziny dziewiętej tłum ludzi zebrał się przy ulicy Balfoura, rozmawiając z ożywieniem. Policja z trudem utrzymywała

ła porządek. Wszyscy ci ludzie trzymali w ręce koperty. Po upływie pół godziny drzwi domu, pod którym stali otwarły się i ukazał się w nich Charley Brand. Na widok tłumów rozłożył ręce.

— Powoli — powoli — rzekł. — Jeden po drugim. — Wszyscy otrzymają pieniądze. Nikt nie straci ani grosza.

Pierwszą wpuścił jakąś starą kobiecinę.

Dom robił wrażenie niezamieszkałego. Tylko jeden pokój był otwarty. Za olbrzymim stołem siedział Raffles, Tajemniczy Nieznajomy, trzymając przed sobą listę depozytariuszy banku Lincoln.

— Pani nazwisko? — zapytał starej kobiety.

— Jenny Gross — odparła drżącym głosem.

— Ile wynosi pani depozyt?

Siedemdziesiąt funtów sterlingów. Przez całych trzydzieści lat mego życia zdołałam zebrać tylko tę sumę. To na mój pogrzeb. Nie chciałam być pochowana jak żebraczka.

Raffles otworzył rejestr i sprawdził dane. Następnie wypełnił druczek, wypłacił siedemdziesiąt funtów i rzekł:

— Proszę podpisać kwit.

Stara drżąca ręką nakreśliła swe nazwisko i włożyła pieniądze do zniszczonego woreczka.

— Niech Bóg panu błogosławi, mój dobry panie — rzekła.

Gdy wyszła z domu otoczyło ją grono ciekawych, zasypując pytaniami czy otrzymała pieniądze. Na wieść o tym, że oddano jej pełną sumę, twarze wszystkich rozpromieniły się.

Gdy prawie połowa interesantów została już zafatwiona, na ulicy rozległy się wołania, sprzedawców gazet: „Kradzież milionów w Lincoln Banku“.

Ludzie stojący przed domem zadrżeli. — Skradziono przecież ich pieniądze, owoc ich pracy. — Mimo to Tajemniczy Nieznajomy zwracał wszystko co do grosza. Wpłaty trwały już przeszło godzinę. Teraz nadeszła kolej na tych ludzi, którzy z opóźnieniem otrzymali list Rafflesa. W międzyczasie zjawili się również reporterzy i detektywi. Rozeszły się wieści, że na ulicy Balfoura jakiś nieznaną filantrop zwraca biedakom pieniądze, które zostały skradzione w nocy z banku Lincoln. Dziennikarze spieszyli, aby sprawdzić tę pogłoskę. Naprawdę jednak starali się przedostać do środka. Charley Brand był bezwzględny i wpuszczał tylko tych, którzy mogli się wylegitymować otrzymanym listem.

W tym samym czasie mister Geiss udał się do banku Lincoln. Wiadomość o kradzieży przeniknęła również do personelu, budząc wszędzie zrozumiałe zdenerwowanie.

Strażnika znaleziono związanego w biurze pierwszego prokurenta. Oświadczył on, że właśnie prokurent dokonał napadu. Wieść ta wywarła na inspektorze Baxterze piorunujące wrażenie.

— Raffles! — jęknął — Raffles! Ten człowiek stanie się przyczyną mojej zguby. Wystarczyło wyciągnąć rękę, aby go schwytać. Zamiast tego... Dość, boję się że oszaleję!..

Wraz z dwunastu agentami udał się do banku Lincoln i wszedł prosto do gabinetu Geissa. Zastał go tak przybitego, że nawet wejście policji nie zdołało wyrwać na nim wrażenia.

— Gdzie mieszka pański prokurent banku? — zapytał inspektor.

— Ashbury Parku. — Posyłałem już po niego, ale nie było go w domu.

— To zupełnie zrozumiałe. Byłby głupi, gdyby chciał się ukrywać w swym własnym mieszka-

niu. Na zasadzie jakich referencji zaangażował pan tego człowieka

— Pokazał mi wspaniałe świadectwa i ponadto złożył tytułem kaucji kilka tysięcy funtów.

— Czy przynajmniej zostawił tę kaucję?

— Nie. Wszystko zabrał. Nie zostawił ani pensa.

— Dziwna historia! Po raz pierwszy spotykam się z podobnym wypadkiem.

— Tak to niesłychane...

— Co zrobi pan, gdy depozytariusze zgłoszą się po swe pieniądze? Czy zastanawiał się pan nad tym?

— Nie. Nie jesteśmy w stanie wypłacić najmniejszego odszkodowania.

— Biedni ludzie! Złe wyszli na okazanym zaufaniu — odparł z żalem.

— Dziwię się, że dotąd nikt się jeszcze nie zgłosił — rzekł Baxter.

— Rzeczywiście... Kiedym przechodził ulicą, sprzedawcy gazet krzyczeli głośno o popełnionej kradzieży w Lincoln Banku.

W tej chwili Marholm wbiegł do gabinetu.

— Panie dyrektorze — wołał od progu. — Stała się rzecz niesłychana! W tej chwili doniósł mi wywiadowca Szulc, że wszystkie zabrane wkłady zostały zwrócone depozytariuszom Banku Lincoln.

— Czyście zwariowali? — zawołał Baxter.

— Mam nadzieję, że nie — odparł Marholm.

— Raffles! — westchnął mister Geiss.

Dźwięk tego nazwiska zelektryzował obydwóch policjantów.

— Ca pan mówi? — zapytał Baxter, rzucając się ku niemu.

— Mówię — odparł Geiss — że to Raffles dokonał kradzieży milionów...

— Wczoraj uważał pan całą tę sprawę za żart. Przyznaję, że mój sekretarz Marholm był również tego samego zdania. Nagle dziś okazuje się, że czcigodny sir John Govern jest znanym włamywaczem londyńskim Rafflesem... Przysłójcie mi tutaj detektywa Szulca.

Marholm wprowadził swego kolegę i Baxter polecił mu opowiedzieć dokładnie co wie w sprawie zwrotu pieniędzy; gdy detektyw skończył raport, Baxter oświadczył:

— Dochodzi południe... Od godziny wiadomość o kradzieży w banku Lincoln obiegła całe miasto. Jak dotąd nie zgłosił się tutaj ani jeden z wierzycieli. Czyżby istotnie historia o zwracaniu depozytów była prawdziwa? Chodźmy na ulicę Balfoura, aby się przekonać.

Mister Geiss nie ruszył się z miejsca.

— Pan jest przede wszystkim zainteresowany w tym, co się tu dzieje — rzekł do niego Baxter. — Sądzę, że zechce nam pan towarzyszyć?

— To się rozumie samo przez się — odparł Geiss.

Inspektor wyszedł z banku w towarzystwie agentów i Geissa. Zdaleka spostrzegli na ulicy Balfoura tłum ludzi. Nie bez trudności inspektor oraz agenci przedarli się przez zbiegowisko. — Przyjął ich Charley Brand i wprowadził do pokoju, w którym urzędował Raffles.

Raffles zajęty był właśnie wypłacaniem ostatnich zwrotów.

— Oto Raffles — zawołał Geiss — wskazując ręką na Tajemniczego Nieznajomego. — Zaaresztujcie go czym prędzej.

Raffles stał tuż obok stołu. Nosił na sobie elegancki smoking. Jedną rękę włożył do kieszeni

spódną, w drugiej trzymał nieodłącznego papierosa.

Na widok Geissa uśmiechnął się ironicznie. Uśmiech ten nie zniknął z jego twarzy nawet wówczas gdy zobaczył za nim sylwetki Baxtera i Marlina.

— Dzień dobry, panie inspektorze — rzekł. — Właśnie czekam na pana.

Na widok Rafflesa, Baxter cofnął się przerażony. Agenci również rzucili się w stronę drzwi. — Sądziłem, że Raffles wyciągnie rewolwer i będzie strzelał.

— Uspokójcie się panowie — rzekł Raffles. — Powtarzam raz jeszcze, że na was czekałem.

— Póki żyję nie widziałem podobnej bezczelności — zawołał Geiss. — Ten człowiek ignoruje pana, inspektorze. Załóżcie mu szybko kajdanki na ręce. Co za szczęście, że udało go się wreszcie schwycić.

Raffles zaśmiał się i spokojnie strząsnął pióło ze swego papierosa.

— Byłoby o wiele właściwiej, panie Geiss, gdyby zechciał pan te słowa zastosować do siebie.

Geiss zbladł, co nie uszło uwagi Baxtera. Ponieważ na zasadzie swych poprzednich doświadczeń wiedział dokładnie że Raffles w sposób złośliwy zwraca się jedynie do przestępców, z prawdziwą ciekawością czekał co z tego dalej wyniknie.

— Nie pozwalaj sobie pan na żadne bezczelności w stosunku do mnie! — zawołał Geiss...

Twarz jego stała się fioletowa.

Raffles stał spokojnie jak wykuty z marmuru. Odrzucił niedopałek i zapalił nowego, papierosa.

— Nadeszła godzina, abym mógł zdemaskować pana przed inspektorem Baxterem — rzekł. Dziesięć lat temu ten człowiek, którego widzi pan przed sobą, ten rzekomy prezes banku — pozbawił mnie fortuny, wynoszącej przeszło cztery i pół miliona funtów szterlingów. Cyfra ta się zgadza? — zwrócił się do Geissa.

Geiss potrząsnął przecząco głową.

— To fałsz, panowie — zawołał. — Ten człowiek kłamie. Ja go nie znam!

Raffles sięgnął ręką do wewnętrznej kieszeni swojej marynarki i wyciągnął z niej świstek papieru podpisany przez bankiera.

— To zaświadczenie dostałem przecież od pana? Czyżby i ono było sfalszowane?

— Prawdopodobnie... Nie wiem o czym pan mówi. Ja nie podpisywałem żadnego dokumentu.

— Zechć panowie wysłuchać jego treści:

„Zaświadczam niniejszym, że wprowadziłem lorda Listera do banku Lincolna i poleciłem mu ukraść złożone tam depozyty. Zobowiązuję się podzielić się z nim do połowy łupem.

Charles Geiss, alias Stein.“

Raffles skończywszy czytanie listu wręczył papierek inspektorowi.

Geiss pobladł tak silnie, że zwróciło to ogólną uwagę. Oparł się o ścianę, aby nie upaść.

— W jakim celu kradł pan miliony, znajdujące się w banku Lincolna? — zwrócił się Baxter z zapytaniem do Rafflesa.

— Musiałem to zrobić — odparł Raffles. — Gdybym tego nie zrobił, ten człowiek wraz ze swym współnikiem, popełniliby kradzież i miliony przepadłyby na zawsze. Sam pan widzi zresztą, panie inspektorze, że zabrałem pieniądze tylko po to, aby je zwrócić prawym właścicielom. Oto po-

kwitowania z odbioru depozytów. Moja rola jest skończona. Żegnaj panów!

Szybko, jak błyskawica, Raffles otworzył znajdujące się za nim drzwi. Zanim Baxter zorientował się w sytuacji Tajemniczy Nieznajomy zamknął drzwi na klucz i zniknął.

— Łapać złodzieja! — zawołał Geiss.

— Słusznie — rzekł Baxter. — Musimy za-
trzymać złodzieja. W myśl obowiązujących nas
ustaw, aresztuję pana, panie Geiss — alias Stein.
Pan jest złodziejem, a nie Raffles!

Na znak inspektora dwóch policjantów rzuciło się, aby Geissowi nałożyć na ręce kajdanki. Nie zdążyli jednak. Geiss wyciągnął z kieszeni rewolwer, przyłożył go sobie do skroni i pociągnął za cyngiel. Geiss osunął się na ziemię.

Charley Brand skorzystał z zamieszania i również zniknął. Nikt nie zauważył jego wyjścia. W godzinę później siedział wraz ze swym przyjacielem w jego gabinecie i opowiedział mu o tragicznym końcu bankiera.

Raffles znów stał się przedmiotem powszechnego podziwu. Jeden jedyny człowiek nienawidził go śmiertelnie. Ukryty w mieszkaniu swego współnika, Mc Intosh głowił się nad wynalezieniem sposobu odzyskania utraconego skarbu, który wykradł mu Tajemniczy Nieznajomy.

Z gazet dowiedział się o śmierci swego towarzysza. Ponieważ posiadał testament Geissa, w którym ten ustanowił go jedynym spadkobiercą, uważał się już za właściciela jego willi. Mimo to, z braku płynnej gotówki, musiał nazajutrz sprzedać kilka cennych obrazów. Zapłacił służbie z uzyskanych w ten sposób pieniędzy i zwolnił ją. Zatrzymał tylko szofera.

Oddawna znał już pewien bar, położony na Strandzie. Barman był jego exkolegą szkolnym. Udał się do niego.

— Tomie, — rzekł do człowieka herkulesowej budowy stojącego za barem. Musisz mi przyjść z pomocą.

Barman przysłonił sobie oburącz oczy.

— Czy to ty, Yimmy Patt?

Jimmy Patt — było to prawdziwe nazwisko Mc Intosha.

— Jak widzisz — rzekł Mc Intosh.

— Na biadelskie rogi! Skąd się tu wzięłeś?

Długo trzeba by opowiadać. Po ucieczce z więzienia ukrywałem się w puszczy.

Błądziłem tak przez kilka tygodni, przymierając z głodu i pragnienia, gdy nagle spotkałem mego dawnego współnika. Przyjął mnie i ukrył u siebie. Wraz z nim wróciłem do Anglii. Nie chciałem słuchać i wpadł. W chwili, gdy policja go nakryła, wpakował sobie kulę w łeb.

— Czyżby? Czy to ten sam, co...

Tom zawahał się.

— Tak, to ten sam, o którym myślisz. Mister Geiss, alias Stein. Dawniej nazywał się Short Leg.

— Ale, Tomie, przychodzę do ciebie obecnie w ważnej sprawie. — Czy pamiętasz starego bankiera Burnsa? — zapytał Mc Intosh cicho.

— Oczywiście! Pamiętam.

— Skradłem temu staremu bankierowi półtora miliona — ciągnął dalej Mc Intosh. — Pieniądze i papiery wartościowe ukryłem na małej wyspie, położonej w pobliżu Islandii. Nigdy w życiu nie przypuszczałbym, że ktoś zdoła odnaleźć mój skarb. Niech go diabli wezmą, tego lotra!

— O kim mówisz? — zapytał Tom.

— O Rafflesie.

Tym razem Tom uderzył pięścią w stół.

— Jak to, Raffles zabrał ci pieniądze?

— Tak — odparł Mc. Intosh, którego oczy rzuciły błyskawice. Zabrał mi wszystko na skutek mojej własnej winy.

Tom wybuchnął śmiechem.

Ależ z ciebie gagatek: kradniesz, narażasz się na szubienicę, uciekasz z zesłania, po to tylko, aby Raffles zabrał ci łup. W gruncie rzeczy pracowałeś dla niego. W jaki sposób to się stało?

— Nie pytaj. Powiedziałem ci, że popełniłem głupstwo. Teraz idzie mi tylko o odzyskanie pieniędzy.

— Ciekaw jestem, jak się masz zamiar do tego zabrać? Byłbyś pierwszym, który zabrał coś kołwiek Rafflesowi.

— Pewny jestem, że się uda. Słuchaj, dzisiejszej nocy zakradnę się do mieszkania Rafflesa i zbadam jego rozkład.

Tom otworzył szeroko oczy.

— Skąd wiesz gdzie on mieszka? Za tę wiadomość Scotland Yard zapłaciłby chętnie pięć tysięcy funtów sterlingów.

— Ta sprawa przyniesie nam więcej — odparł Mc Intosh pogardliwym tonem.

— Gotów jestem pomóc ci. Skąd ty jednak do tej informacji?

— Mój wspólnik przekazał mi ją w testamencie.

— Przypuśćmy, że jest ona ścisła. Jaki masz plan?

— Będziemy działać wspólnie. Sam nie dałbym sobie z tym rady.

— Zgodzi! Gdy coś postanowisz dasz mi znać. Pieniądze dzielimy do połowy.

— To się rozumie.

Wymienili silny uścisk dłoni i rozstali się.

Następnego dnia Raffles zajęty był z Chariey Brandem segregowaniem artykułów, opisujących ostatni jego wyczyn. Nagle usłyszał za szklanymi drzwiami wychodzącymi na korytarz lekki szmer.

Podniósł się i aby nie niepokoić Charleya, rzekł głośno.

— Na dzisiaj dość pracy. Bierz kapelusz. — Pójdziemy zjeść kolację do restauracji.

Charley przyjął tę propozycję z prawdziwą radością. Wrócili do domu około północy. Charley zdziwił się nieco, widząc, że Raffles nie wchodzi do mieszkania głównym wejściem, lecz kieruje się w stronę ogródka. Księżyc skrył się za chmurami i przez chmury sączyło się tylko słabe światło. Raffles posiadał jednak dar widzenia w ciemnościach.

Pochylony ku ziemi posuwał się powoli jak Indianin, szukający śladów. Co rano bowiem wszystkie ścieżki jego ogródka musiały być przez jego służącego starannie skopane i najłżejsza stopa ludzka musiała zostawić na niej wyraźny ślad.

Wkrótce Raffles znalazł to, czego szukał. Wskazał Charleyowi palcem na odcisk stóp w grubych butach.

— Zachowuj się cicho — szepnął do Charleya. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa czekają nas dzisiejszej nocy odwiedziny. Sądząc po śladach jest ich dwóch.

— Kim mogą być ci ludzie?

— Jednym z nich jest niewątpliwie nasz znajomy, wspólnik Geissa.

— Aha — rzekł Charley. — Chce on odebrać od nas skarb z wulkanicznej wyspy.

— Oczywiście. Ponieważ jest na tyle głupi że odważył się złożyć mi wizytę, postaramy się zabawić jego kosztem. Wracaj do głównego wejścia i postaraj się zrobić jaknajwięcej hałasu. Ci ludzie pomyślą, że to ja. Udasz się do mego gabinetu i na wszelki wypadek weźmiesz stamtąd rewolwer.

Charley oddalił się, a Raffles udał się w kierunku śladów. Obydwaj mężczyźni weszli do domu tylnymi drzwiami. Raffles wszedł do mieszkania tym samym wejściem.

Kierował się wciąż śladami, pozostawionymi przez rabusiów. W ten sposób doszedł do biblioteki. Podniósł kołnierzyk swego płaszcza i owiązał dookoła twarzy chusteczkę tak, że widać mu było tylko oczy. Zatrzymał się w samym środku pokoju, zapalił kieszonkową latarkę i wyciągnął rewolwer. Na puszystym dywanie widniały odciski mokrych butów. Ślady te prowadziły aż do alkowy, oddzielonej od pokoju portierami. W alkowie tej było dość miejsca na kilka osób. Po ruchu portiery Raffles poznał, że obydwaj bandyci tam się ukryli i z tej kryjówki obserwowali go swobodnie. Zgasił latarkę, zbliżył się do okna, otworzył je i włożywszy dwa palce do ust gwizdnął przeciągle. Następnie poczekał chwilę i wychyliwszy się przez okno, zawołał głośno jak gdyby mówił do kogoś.

— Wszystko w porządku... W całej budzie nie ma nikogo. Będę wyrzucał drobiazgi przez okno.

Słowa te wypowiedział specjalnie tak wyraźnie, aby ukryci w alkowie mężczyźni mogli je zrozumieć.

Następnie Raffles wrócił do pokoju i zbliżył się do wielkiej drewnianej szafy. Na szafie stały ciężkie kandelabry ze srebra. Raffles wdrapał się na krzesło, zdjął kandelabry i postawił je na stole.

— Dobry towar — rzekł głośno — idąc w kierunku okna.

Zagwizdał po raz wtóry.

— Hej, Jim! — zawołał. — Uważaj, bo ciężkie.

Rzucił kandelabry przez okno. Upadły z głuchym trzaskiem na ulicę. Raffles zapalił znowu swą lampę i jak gdyby w obawie, że hałas może spowodować na głowę policie, ukrył się pod stołem. Po chwili wyszedł ze swej kryjówki i zbliżywszy się do okna zawołał:

— Idę teraz do innych pokoi. Jeśli wszystko odbędzie się prawidłowo będziecie mogli przyjść tu obydwaj. Ty i Jack.

Wyszedł. W westibulu spotkał się twarzą w twarz z Charleyem. Na widok człowieka, robiącego wrażenie bandyty sekretarz drgnął. Uspokoił się dopiero na dźwięk głosu Rafflesa.

— Wyjdź ostrożnie z domu — rzekł Raffles. — Przywiąż sobie chusteczkę taką samą jaką ja mam na twarzy i stań pod oknem biblioteki. Odegrasz rolę włamywacza.

Raffles wszedł tymczasem do biblioteki. Po nieznacznym ruchu portiery, zrozumiał, że obydwaj bandyci jeszcze się tam znajdowali.

— Hej Jim — zawołał przez okno. — W domu są wprawdzie obydwaj panowie, lecz śpią jak zabici, będziemy mogli swobodnie splądrować całą budę. Wejść na górę. Ty zaś Jack zostań na warcie i uważaj na wszystko.

Pomógł Charleyowi wdrapać się przez okno. Razem wyszli z pokoju.

— Nasi dwaj przyjaciele za portiera, zapląkują się z rozpaczą, że spotkali się tutaj ze swymi kolegami. Przejdź ze mną do jadalni. Weźmiemy całe srebro i wyrzucimy je przez okno. Następnie wejdiesz do mego pokoju, wyjmiesz z szafy mundur policjanta i przebierzesz się.

Weszli do jadalni. Po chwili stopy naczyń przez niesione zostały do biblioteki.

— Uważaj, Jack — zawołał Raffles przez okno.

Srebrne kosze i półmiski runęły na ulicę.

— Na Boga! Nie krzycz tak głośno — zawołał Charley. — Nie jesteśmy przecież u siebie w domu.

— Nie bój się. Nasi panowie nie obudzą się dla byle wyrzuczonego koszyka. Chodźmy zobaczyć, co tu się uda jeszcze zwędzić.

Obydwa przyjaciele udali się do pokoju Rafflesa. Tajemniczy Nieznajomy pomógł Charleyowi przebrać się za policjanta i położył na łóżku drugi uniform dla siebie. Wręczył mu nadto rewolwer i parę kajdanków.

— Teraz jesteś reprezentantem władzy, — rzekł. — Zostaniesz w bibliotece przy oknie tak długo, dopóki nie przyjdę po ciebie, przebrany również za policjanta. Uważaj pilnie, aby bandyci nam się nie wymknęli.

Z tymi słowy chwycił talerz, znajdujący się jeszcze na kredensie i z całej siły rzucił nim o ziemię.

— Stać! Ręce do góry! — Zawołał grmiałym głosem, który rozległ się po całym domu.

Wystrzelił z rewolweru, następnie zbliżył się do Charleya Branda i szepnął mu cicho do ucha:

— Krzycz tak, jak gdybyś był policjantem i ścigaj mnie.

Rozpoczęła się gonitwa po przez wszystkie pokoje. W pewnym momencie Raffles wbiegł zdyszany do biblioteki i przechyliwszy się przez okno zawołał:

Uciekaj, Jack! Policja! Jim zabity!

Wyskoczył do ogrodu przez okno. W tej samej chwili do pokoju wpadł Charley Brand. Podbiegł do okna, zaklął głośno:

— Umknął łobuz! Inspektor zmyje mi głowę.

Zamknął okno i w oczekiwaniu na powrót Rafflesa, zapalił światło. Następnie podszedł do drzwi:

— Zwiął — zawołał głośno, jak gdyby mówił do kogoś. — Kapitanie, czy mam go dalej ścigać?

— Zbyteczne — odparł Raffles, który w międzyczasie przebrał się za oficera policji. Otoczyliśmy dom, nikt się nam nie wymknie.

Po paru chwilach wszedł do biblioteki.

— Musimy przeszukać całe mieszkanie. Przypuszczam, że mamy tu do czynienia z całą bandą. Wyjmijcie rewolwer.

Zaledwie zdążył wypowiedzieć te słowa, gdy Mc Intosh i Tom wybiegli pędem z alkowy, kierując się w stronę okna.

— Stać! — rozkazał Raffles, — mierząc ku nim z rewolweru.

Widok uniformów i rewolwerów zrobił swoje. Obydwa bandyci poddali się bez oporu. Raffles założył im kajdanki na ręce.

Chwycił Mc Intosha za ramię. Charley Brand ujął Toma.

Gdy byli już na ulicy, Tom zwrócił się do Rafflesa.

— Mógł pan, inspektorze, dokonać w tym domu stokroć ważniejszego aresztowania...

— Nie sądzę, — odparł Raffles.

— Jestem tego pewny — odparł Tom. W tym domu mieszka Raffles, włamywacz, którego policja poszukuje od dłuższego czasu.

— Oszalałeś, mój chłopcze — rzekł Raffles. — Dom ten należy do profesora Mortona, mego dobrego znajomego.

Tom rzucił pełne wściekłości spojrzenie na Mc Intosha.

— Powiedziałem ci z góry, że jesteś w błędzie — rzekł. — Dać się złapać policji dla jakiegoś tam głupiego profesora.

Mc Intosh był również wściekły jak i on. Przegrali.

Przy najbliższym posterunku policji, Raffles zatrzymał się i zwrócił się do agentów.

— Zrobiłem obławę dla Scotland Yardu — rzekł. — Złożę wam mój raport. — Odprowadźcie tych zuchów do inspektora Baxtera i miejcie się na baczności, są to bowiem niebezpieczni przestępcy. W wypadku, gdyby zdradzali najmniejszą chęć ucieczki, zróbcie użytek z broni.

Wręczył policjantowi zapisaną kartkę papieru, którą ten nie czytając, włożył do kieszeni.

W kwadrans po tym, inspektor Baxter zdziwił się niepomniernie na widok policjanta, eskortującego dwóch ludzi. Otworzył list, zaadresowany doń przez rzekomego inspektora:

„Szanowny Panie Inspektorze. Znowu pozwoliłem sobie zastąpić pana. Polecilem jednemu z pańskich agentów doprowadzić do komendy policji dwóch złoczyńców. Jednego z nich pan zna: to współnik Geissa.

Z pozdrowieniem Raffles“.

— Co takiego? — rzekł Marholm, — wybuchając śmiechem. — Znow Raffles? Przysyła nam więźniów?

— Tak — odparł Baxter.

Na dźwięk nazwiska Raffles, Mc Intosh dostał ataku szału. Uspokoił się dopiero wówczas, gdy założono mu kaftan bezpieczeństwa.

KONIEC.

Następny **Nr. 45 „Lorda Listera“**,
który ukaże się w czwartek, dn. 15-go września
b. r. zawierać będzie przygodę pod tytułem:

Zemsta włamywacza

Cena 10 groszy

Kto go zna?

— oto pytanie, które zadają sobie w Urzędzie Śledczym Londynu.



Kto go widział?

— oto pytanie, które zadaje sobie cały świat.

LORD LISTER

T. ZW. TAJEMNICZY NIEZNAJOMY

spędza sen z oczu oszustom, łotrom i aferzystom, zagrażając ich podstępnie zebranym majątkom. Równocześnie Tajemniczy Nieznajomy broni uciśnionych i krzywdzonych, niewinnych i biednych.

Dotychczas ukazały się w sprzedaży następujące numery:

- | | |
|----------------------------------|--------------------------------|
| 1. POSTRACH LONDYNU | 21. SKRADZIONY TYGRYS |
| 2. ZŁODZIEJ KOLEJOWY | 22. W SZPONACH HAZARDU |
| 3. SOBOWTÓR BANKIERA | 23. TAJEMNICA WOJENNEGO OKRĘTU |
| 4. INTRYGA I MIŁOŚĆ | 24. OSZUSTWO NA BIEGUNIE |
| 5. UWODZICIEL W PULAPCE | 25. TAJEMNICA ZIELONEJ KASY |
| 6. DIAMENTY KSIĘCIA | 26. SKARB WIELKIEGO SZIWY |
| 7. WŁAMANIE NA DNI MORZA | 27. PRZEKLETY TALIZMAN. |
| 8. KRADZIEŻ W WAGONIE SYPIALNYM. | 28. INDYJSKI PIERŚCIEN |
| 9. FATALNA POMYLKA | 29. KSIĄŻĘ SZULERÓW |
| 10. W RUINACH MESSYNY | 30. DIAMENTOWY NASZYJNIK |
| 11. UWIEŻIONA | 31. W PODZIEMIACH PARYŻA |
| 12. PODRÓŻ POŚLUBNA | 32. KLUB JEDWABNEJ WSTĘGL |
| 13. ZŁODZIEJ OKRADZIONY | 33. KLUB MILIONERÓW. |
| 14. AGENCJA MATRYMONIALNA | 34. PODWODNY SKARBIEC |
| 15. KSIĘŻNICZKA DOLARÓW. | 35. KRZYWDZICIEL SIEROT. |
| 16. INDYJSKI DYWAN. | 36. ZATRUTA KOPERTA |
| 17. TAJEMNICZA BOMBA | 37. NIEBEZPIECZNA UWODZICIELKA |
| 18. ELIKSIR MŁODOŚCI | 38. OSZUST W OPALACH. |
| 19. SENSACYJNY ZAKŁAD | 39. KRADZIEŻ W MUZEUM. |
| 20. MIASTO WIECZNEJ NOCY. | 40. ZGUBIONY SZAL. |
| | 41. CZARNA REKA. |
| | 42. ODZYSKANE DZIEDZICTWO. |
| | 43. RYCERZE CNOTY. |

CZYTAJCIE EMOCJONUJĄCE I SENSACYJNE CZYTAJCIE
PRZYGODY LORDA LISTERA

Cena **10 gr.** CO TYDZIEŃ UKAZUJE SIĘ JEDEN ZESZYT, STANOWIĄCY ODDZIELNĄ CAŁOŚĆ Cena **10 gr.**

Wydawca: Wydawnictwo „Republika“ Spółka z ogr. odp. Stefan Pietrzak. Redaktor odpowiedzialny: Stefan Pietrzak.

Odbito w drukarni własnej, Łódź, Piotrkowska 49 i 64.

Konto P. K. O. 68,148. Adres Administracji: Łódź, Piotrkowska 49, tel. 122-14. Redakcji — tel. 136-56.

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001025157824



623395 / 44

Ⓐ

